



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Edmund Kalata

Disce puer w huku dział

Chyba zaraz na trzeci dzień po wyzwoleniu Pragi, we wrześniu 1944 roku, mając 15 lat znalazłem się z powrotem na brukach swojej ulicy Środkowej. Stąd wyjechałem pod koniec czerwca na wakacje do wsi Ostrożeń za Garwolinem i Gończycami. Już na początku lipca słyszeliśmy tam głuchy pomruk dział ze wschodu. Stamtąd miała przyjść wolność. Nie mogliśmy się doczekać. Siadywałem czasami nad stawem ucząc się słówek z książki pt. „Disce puer latine”. Byłem już po pierwszym roku tajnych kompletów okupacyjnych gimnazjum im. Władysława IV na Pradze. Do dziś pamiętam jeszcze odmianę zaimków „ego, mei, mihi, me – tu, tui, tibi, te, tu, te”. Naukę przerywała jakaś dziwna tęsknota za domem.

Któregoś dnia rano obudziło mnie dudnienie i wzmożony ruch na szosie biegnącej około 1 kilometra od wsi. Pobiegłem tam. Nareszcie! Szkopy uciekli! Ci w zielonych mundurach to nasi! Nasi, polscy żołnierze! Na hełmach i rogatywkach trochę dziwne orły, a i mowa taka jakaś śpiewna, ale polska. Dali do ręki automat – pepeszę. Ułożyłem się w rowie rozstawiając prawidłowo nogi w pozycji strzeleckiej i puściłem serię w puszkę po konserwach – nawet nieźle. Trochę się dziwili, że taki młody, a już umie dobrze strzelać. Skąd mogli wiedzieć, że miałem już z tym do czynienia, a ja się wcale nie chwaliłem. Koniecznie chciałem iść z nimi na Warszawę. Dojechaliśmy samochodem gdzieś w lasy koło Kołbieli. Tam już utworzyła się linia frontu. Wróciłem na drugi dzień do wsi w Ostrożeniu po książki, z postanowieniem rychłego powrotu do swoich żołnierzy, ale wyszło inaczej.

Na widnokręgu, tam gdzie znajdowała się Warszawa, pojawiła się wielka luna. Widać ją było ode mnie z odległości 80 kilometrów. Podobno zaczęło się powstanie, a Niemcy okopani koło Otwocka i za Wisłą bronili się zaciekle przed nacierającymi wojskami. Front stanął. Nie sposób dostać się do rodzinnego miasta, a tam przecież jest moja matka i na pewno walczą już koledzy z „Szarych Szeregów”. W tym samym czasie do domu, gdzie przebywałem zaczęli nadjeżdżać uchodźcy znad Wisły, ze strefy przyfrontowej. Przybywali prawie z całym dobytkiem. Zaczęło być bardzo ciasno. Często wchodziłem na najwyższe drzewo i patrzyłem w kierunku swojego palącego się miasta. Spałem w stodole wraz z dziewczętami i tam niezręcznie kochałem się po raz pierwszy. Ale nie to było wtedy dla mnie najważniejsze. Moje miejsce było przecież tam, gdzie była z każdym dniem powiększająca się luna.

Uchodźcy bali się wracać po resztę dobytku w okolice Maciejowic, gdzie front ustalił się nad Wisłą. Nie mogłem beczynnie usiedzieć na miejscu. Pojechałem tam sam na ochotnika, furmanką zaprzęzoną w mizernego konia. Jechałem nie znając drogi 30 kilometrów na przelaj przez lasy i pola, omijając w ten sposób ostrzeliwaną stację kolejową Sobolew i szosę. Trochę pobłądziłem i w okolicach wsi

Oronne dostałem się pod ogień. Galopem skręciłem w lasy i przez jakieś bagna dostałem się wreszcie do Kawęczyna. Konia nie wyprzęgałem na noc, a sam na krótko ułożyłem się spać w opuszczonej chałupie. Mnóstwo pcheł wypłoszyło mnie do stodoły. Rano załadowałem ile mogłem na furę i tą samą drogą wróciłem szczęśliwie do Ostrozewa. Śladem po tej wyprawie zostało imię „Mundek” nadane przez wujka jego synowi.

15 czy 16 września dowiedziałem się, że matka przyjechała z wyzwolonej Pragi i jest w sąsiedniej wiosce. Żyje! Biegłem jak na skrzydłach. Podobno byłem strasznie wychudzony i miałem wszy. Na drugi dzień zabraliśmy się wojskową ciężarówką do domu. Pragę zobaczyłem po 3-miesięcznej nieobecności prawie taką, jak ją zostawiłem, tylko ludzie byli jacyś odmienieni – bardziej ruchliwi i entuzjastyczni. Słuchałem opowiadań matki i sąsiadów o tym, co działo się tu w ciągu ostatnich tygodni.

Powstanie zaczęło się we wtorek 1 sierpnia. Poszli do niego moi dwaj starsi bracia cioteczni i siostra. Stasiak i Rena będąc zgrupowani w oddziałach na Pradze, wrócili po paru dniach do domu na Targową. Powstańcy na Pradze byli bardzo słabo uzbrojeni – musieli przegrać. Tym bardziej, że Niemcy rzucili tu duże siły. Stasiak parę dni po wyzwoleniu Pragi wstąpił do i Armii Wojska Polskiego. Otrzymał podporucznika po ukończeniu za okupacji tajnej podchorążówce, walczył aż do końca wojny. Marian w tym czasie – jak się później dowiedzieliśmy – bił się na barykadach. Ich ojciec, a mój wujek Jakubaszek został ciężko ranny parę dni przed wyzwoleniem Pragi, przy gaszeniu pożaru komórki, w której były schowane jeszcze nie rozkolportowane tajne gazetki. Prawie przez całą okupację sprawował wraz ze swoimi chłopakami pieczę nad tajną drukarnią w piwnicy pod podwórkiem na Targowej 47.

Z naszego domu przy ul. Środkowej 23 została ranna moja rówieśniczka, Renia Marcykówna, gdy jako łączniczka wbiegała już do bramy. Snajper niemiecki zaczął w budynku koszar przy ulicy 11 Listopada 15 miał jak na dłoni całą długość Środkowej, aż do torów kolejowych przy ulicy „Ciemno” – Wileńskiej. Moja szkolna sympatia, Krysia Orzechowska, była żywa i cała.

Gdy Niemcy zaczęli wywozić mężczyzn z Pragi, matka późniejszego korespondenta-reportera Zygmunta Broniarka schowała go we wnęce za szafą. Groziło to rozstrzelaniem na miejscu. W czasie okupacji chłopaki z naszej ulicy chcieli mu spuścić knoty, za to, że się kuma z Niemcami. Wy tłumaczył się, że potrzebna mu konwersacja do nauki języków obcych – no i teraz ma wyniki. Dwaj bracia Majzle – Maniek i Rysiek, moi rówieśnicy i sąsiedzi mieszkający obok mnie w tym samym korytarzu na kupie w 13-metrowym pokoju na piątym piętrze, znaleźli się w Hitlerjugend. Ich rodzice przez długi czas pomimo nalegań Niemców nie chcieli podpisać Volkslisty. Marian podobno został zabity przy magazynach w Porcie Praskim. Ich rodzice byli mimo wszystko ludźmi porządnymi – żyli w takiej samej biedzie jak my. Gdy stary Majzel w jakieś 20 lat po wojnie odwiedził nasz dom, sąsiedzi przyjęli go bardzo serdecznie.

Zaraz po powrocie poszedłem na Środkową 9, gdzie spędzałem za okupacji dużo wieczorów. Tam był praski oddział „Ogniska” Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Ulicy, kierowanego przez jego głównego inspiratora – „Dziadka” Kazimierza Lisieckiego. Naszych chłopaków już tam nie było. Mieścił się tu teraz chwilowo PCK. „Dziadek” był w „Ognisku” na Starówce przy ulicy Długiej 13. Po powstaniu z około dwustu miejscowych chłopaków wyprowadził przez Pruszków do Giełzowa tylko około dwudziestu. W roku 1976 kilkaset Dzieci Ulicy z całej Polski odprowadzało „Dziadka” do Alei Zasłużonych na Powązkach.

Dzieje ostatnich dni opowiedziane przez matkę – płonąca Warszawa i rozlegający się jeszcze grzechot strzałów z drugiej strony Wisły oraz odradzające się życie na Pradze – skłoniło mnie do refleksji. Szukałem kontaktów z moimi kolegami z „Szarych Szeregów”. Nie było drużynowego „Tadka”, nie było Zdziśka „Zagłoby” – walczyli jako „butelkarze” w broniącej się teraz ostatkami sił lewobrzeżnej Warszawie. Nie mogłem im pomóc. Spotkałiśmy się dopiero kilka ładnych lat po wojnie. Przeżyli powstanie i wyszli szczęśliwie ze stalagu w Lamsdorfie, obecnie Łambinowic koło Opola, gdzie Niemcy trzymali najmłodszych żołnierzy walczącej stolicy. „Tadek” pisał tam nawet wiersze.

Czułem się osamotniony i częściowo winny, że nie mogę bić się razem z nimi ramię w ramię, ale to przecież było niezależne ode mnie. Podobnie było z Wieśkiem „Frygą”. Próbował zjechać do powstania na powiązanych prześcieradłach z II piętra, ale mu to rodzice wybili z głowy. Tak pokierował los. Teraz nie mogłem siedzieć bezczynnie, czekając cierpliwie końca wojny. Kipiała we mnie energia i chęć działania. Jeszcze za młody – nie mogłem być przyjęty do wojska.

I wtedy, chyba już pod koniec września 1944 roku, znalazłem swoje miejsce w aktualnej nowej rzeczywistości. Zasługa w tym przede wszystkim byłych profesorów z tajnych kompletów okupacyjnych. Odtworzyły się częściowo klasy „Władka IV”. Ja miałem robić drugą klasę gimnazjum. Gmach naszej budy przy ul. Zygmuntońskiej na wprost cerkwi był zajęty wtenczas przez szpital przyfrontowy. Pamiętam, że niedługo po wyzwoleniu lewobrzeżnej Warszawy w styczniu 1945 roku przygotowywaliśmy klasy w tym budynku do wolnej, nieskrępowanej nauki. Wynosiliśmy na zewnątrz do wykopanych dołów całe zwoje zakrwawionych bandaży i szarpi. Pamiętam, że w jednym z pomieszczeń rozładowywaliśmy zaschniętą górę fekaliów ludzkich wysokości około 1,5 metra. Na

wierzch tego prowadziły deski. Wymiotowałem wówczas chyba ze dwa razy, ale ktoś to przecież musiał zrobić. Nikt nas do tego nie zmuszał. Wręcz odwrotnie. Przy wynoszeniu amputowanych rąk i nóg po zoperowanych ludziach nie wytrzymałszy! Zatrudniono wtedy specjalne ekipy sanitarne w maskach i rękawicach gumowych.

Do czasu powrotu do właściwego gmachu gimnazjum naukę zlokalizowano na IV piętrze domu przy ulicy Wileńskiej 31, odległej od linii frontu na Wiśle raptem może 1 kilometr. Niby to było blisko, a jednak nam wydawało się daleko. Na jesieni 1944 roku kule karabinowe miały utrudniony cel w gmatwaninie ulic Nowej Pragi. Dokuczały tylko sporadycznie padające pociski, jak mówiono – z niemieckich czołgów zza Wisły, albo groźniejsze „krowy”, które potrafiły zwalić aż do piwnic najwyższą kamienicę. Mogliśmy się jednak uczyć swobodnie na wolności, a nie po kryjomu po prywatnych mieszkaniach. Podręczniki historii i geografii, kiedyś ukrywane przed niepowołanymi oczami, teraz noszono na wierzchu. Było ich bardzo mało i mocno zniszczone. Tytuł przecież chłopaków z naszego pokolenia z nich korzystało i dlatego też były bardziej cenne, chociażby ze względu na ważniejsze podkreślenia. Zeszyty były na wagę złota. Dostałem ich cztery od cici Jakubaszkowej z ulicy Targowej. Były trochę pożółkłe, ale czyste. Nie wiedziałem, jak jej za to dziękować.

Przez pewien czas nie mogłem dać sobie rady z łaciną. *Ablativus absolutus* był dla mnie absolutnie niestrawny. Większość z nas miała trudności z matematyką. Wchodziły początki równań. Po pierwszym niepowodzeniu zawiązałem się. Matka akurat robiła pranie. Chlupoczące w balii bety w ciasnym pokoiku na V piętrze, przy niezbyt jasnym oświetleniu karbidówki, nie dawały dużych szans. Po całym wieczorze kucia matmy, przy niedalekim pohukiwaniu dział, dopiąłem jednak swego. Wszystkie ikсы, ygreki, kwadraty itp. miałem w jednym palcu – śpiewając rozwiązywałem później na lekcji wszystkie trudne równania.

Brak podręczników dawał się nam mocno we znaki. Musiałem sobie jakoś radzić sam. Fama między uczniami głosiła, że na „rączniaku” przy skrzyżowaniu Grochowskiej i Podskarbińskiej, działa giełda książkowa. Po lekcjach zapakowałem w teczkę książki z pierwszego roku i na wszelki wypadek kawał słoniny – jako ewentualny atrakcyjny towar w handlu wymiennym.

Ulica Targowa, leżąca kilkaset metrów od linii frontu na Wiśle, była często ostrzeliwana. Wolałem tamtędy nie chodzić, gdyż najgorsze wrażenie sprawiała Zygmuntowska, otwarta szeroko na most Kierbedzia i wieżę przy kościele św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Gdy czasami szedłem tamtędy do rodziny na Targową 47, czułem jak mi drętwieje ciało z tej strony, skąd mogły w każdej chwili paść strzały niemieckiego snajpera. Wybrałem więc drogę bardziej bezpieczną, ale krętą i niewygodną. Ze Śródkowej poprzez tory za Dworcem Wileńskim, przez Starą Pragę, czyli Szmulki, ulicą Korsaka dostałem się do tunelu pod Dworcem Wschodnim. Tu poczułem się bezpieczniej i trochę odpocząłem. Była jesień i wcześniej robiła się szarówka. Skróciło to mój postój i idąc dalej wyszedłem ulicą Bliską przy Kamionku na Grochowską. Cel był już niedaleko, ale zobaczyłem, że jest akurat mocno ostrzeliwany. Po nieparzystej stronie Grochowskiej przed Podskarbińską, w tym właśnie miejscu, gdzie miała być giełda książek, leciały z dachów rozpryskując się na wszystkie strony pozrywane blachy i cegły. Z daleka może nie wyglądało to zbyt groźnie, ale wiedziałem czym to pachnie. W tym momencie Grochowską, z ostrzeliwanej strony, pędził motocyklem z przyczepą jakiś żołnierz. Nie było czasu do namysłu. Zdecydowałem natychmiast – przyjdę jutro – i machnąłem ręką. Prawie w biegu skoczyłem na tylne siodełko. Pędziliśmy jak szaleni. Przy zbiegu Grochowskiej, Zielenieckiej, Zamojskiego i Targowej trzeba było zwolnić. Cała jezdnia i chodniki były zryte lejami po pociskach. Od strony Warszawy, mniej więcej w tym miejscu, gdzie usytuowana była kiedyś poczekalnia ciuchci Karczewskiej, stał bardzo wysoki drewniany parkan. Ochrony specjalnej to on nie dawał, ale chociaż częściowo zasłaniał przed oczami Niemców zza Wisły najwygodniejszy przejazd z Grochowa na Pragę. Wskoczyliśmy w Targową i zatrzymaliśmy się dopiero za bazarem Różyckiego. Żołnierz pytał o ulicę Brzeską – dopiero teraz mogliśmy spokojniej porozmawiać. Wskazałem mu dojazd przez Żąbkowską. Gdy nią jechał widziałem jeszcze, jak z bocznej ściany domu na Żąbkowskiej 3 sypał się ściegiem tynk. To Niemcy, wstrzeleni dobrze w Żąbkowską poprzez Brukową, chcieli trafić „mojego” żołnierza. Słyszałem jeszcze przez pewien czas warkot oddalającego się motoru. Miałem na dziś wystarczającą porcję przeżyć i strachu. Cofnąłem się do ciotki na Targową 47 i dopiero wieczorem wróciłem do domu.

Którejś nocy, gdy spałem u siebie na piątku, obudził mnie chlupot wody. Matki nie było, wyjechała po żywność na wieś. Zapaliłem zapalkę. Pełny przedtem kubel wody stojący na blacie kuchni węglowej kiwał się jeszcze wylewając część swej zawartości. Pewnie „krowa” padła gdzieś obok – pomyślałem i położyłem się dalej spać. Spokojne nerwy w tej sytuacji to kwestia przyzwyczajenia. Na drugi dzień moje przypuszczenia potwierdziły się. Obok wysokiego domu przy Strzeleckiej 4 widniała w jezdni wielka wyrwa, a sam dom był mocno zarysowany i groził zawaleniem.

W parę dni później dowiedzieliśmy się, że w oficynie domu trafionego pociskiem na Targowej 69, tuż przy przedwojennym kinie „Praga”, zginęła jedna z naszych profeserek. To było gdzieś w październiku lub listopadzie 1944 roku. Mieliśmy jak zawsze wykłady na Wileńskiej 31. Najpierw około godziny 11-tej usłyszeliśmy głucho stuknięcie i nasz dom lekko się zakołysał. Znów gdzieś obok rąbnęła „krowa”

– normalka. Siedziałem w ławce przy oknie. Tego dnia byłem jakiś rozkojarzony – może na skutek poprzednich przeżyć – i bezmyślnie gapilem się w okno. W pewnym momencie na moich oczach stojąca na torach Dworca Wileńskiego budka dróżnika nagle znikła. Dosłownie znikła! Do mojej świadomości doszło, że trafił w nią pocisk dopiero wtedy, gdy dwóch żołnierzy idących przez tory błyskawicznie padło na płask pomiędzy szynami. Na płataninie torów zaczęły coraz gęściej wybuchać pociski. W klasie powstała panika. Dziwne, bo przecież ci chłopcy na pewno niejedno już przeszli i niejedno widzieli w ciemnej nocy okupacji. Zadziałała jednak psychologia tłumu. Wracając po ostrzeliwaniu do domu widziałem na Konopackiej przy Strzeleckiej mężczyznę, który pchał leżącą na taczkach pokrwawioną i chyba już nieżyjącą dziewczynę.

Po południu wybrałem się do kolegi na ulicę Zaokopową. Tu był jakiś dziwny ruch. Mężczyźni i kobiety biegli z kubłami wody w kierunku ulicy Wileńskiej. Ktoś wetknął mi do ręki kubek i krzyknął: „Ganiaj teraz ty!” Nie wiedziałem gdzie i po co. Za chwilę jednak już dźwigałem wodę na Wileńską 21. Skojarzyłem to z usłyszanym wybuchem „krowy” o godzinie 11, gdy zobaczyłem lewą oficynę tego domu zwaloną aż do piwnic. Jedna dymiąca kupa gruzów. Miejscami buchały jeszcze płomienie. Ratujący mówili, że słychać jeszcze ludzkie głosy pod rumowiskiem. Trzeba ich odgrzebać. Chwyciłem za łopatę. Wydobyte zwłoki rozpoznaliśmy jako kobiety tylko po butach na wysokim obcasie. Była cała zwęglona i miała gołą czaszkę. Odnieśliśmy ją pod mur ocalałej drugiej oficyny i odwaliliśmy dalej zwały gruzu, nad słuchując, z którego miejsca dobywają się głosy zaspanych ludzi. Wdrapałem się na sam wierzch gruzów. Szczytowa ściana kina „Syrena” na ulicy Inżynierskiej, stojąca tyłem do zwalonej oficyny, także była zburzona. Dziwny i straszny jednocześnie to był widok. Doznałem też dziwnego uczucia. Pode mną martwi, niektórzy może jeszcze żywi, a tam w zburzonym kinie miejsca dla nich. Ja stojąc na miejscu zwalonego ekranu grałem główną rolę. Jaką rolę? Dla umarłych? w nocy miałem koszmarne sny, ale tamto to nie był sen.

Praga, chociaż wyzwolona, biedowała. Była przecież na pierwszej linii frontu. Miałem serdecznego kolegę z tego samego podwórka, Jurka Ruławika. Niedużo brakowało, a jako półsieroty zostalibyśmy przyszywanymi braćmi, ale wyszło inaczej. Chłopaki z Pragi, dzieci ulicy, dadzą sobie radę. Postanowiliśmy się wypuścić we dwóch po kartofle na pola Białoleki za Bródnem. Ja jeszcze z czasów okupacji miałem pojemny worek z przyszytymi szelkami. Obiecałem sobie, że przyniosę go pełny. To było ładnych parę kilometrów pieszo. Zaszliśmy tam bez specjalnych przeszkód i emocji. Dopiero na miejscu i w drodze powrotnej mieliśmy solidnego pietra. Zaczęło się od tego, że na polach prawie już nie było kartofli – wybierane. Marchewki, pietruszki i innych warzyw można było jeszcze sporo wygrzebać z ziemi. Było mokro, a my utyłani błotem na amen. Oprócz tego, że worki robiły się coraz cięższe, to jeszcze to fiu-fiu nad nami od czasu do czasu. Jurek orzekł, że to strzelają do nas. Ale skąd? Przyjemne to nie było, bo żeby mniej ryzykować chodziliśmy na czworakach. Odpoczywaliśmy później w jakimś opuszczonym przez mieszkańców domku, stojącym w szczerym polu. Chciało nam się pić, ale nie było czym wydobyć wody ze studni. Znaleźliśmy jakąś blaszaną puszkę i na sznurku wyciągnęliśmy jej trochę – była pyszna.

Wzmocnieni odpoczynkiem ruszyliśmy dalej. Zaraz przy rogu chałupy padłem plackiem na ziemię, a Jurek nurkiem wylądował w otwór na wpeł wkopanej w ziemię, stojącej obok piwnicy. To zaczęły wybuchać pociski padające z drugiej strony budynku. Ze trzy metry od mojego nosa upadło, sycząc w błocie, parę odłamków. Krzyknąłem do Jurka, żeby nie wczolgiwał się dalej, bo piwnica może być zaminowana. Za chwilę wszystko ucichło. Mocno wystraszeni pomaszzerowaliśmy z ciężkimi workami na plecach w kierunku Bródna. Po stercie zboża stojącej ze 100 metrów od domu, który dał nam schronienie, nie było śladu. Uff – było gorąco. Na ulicy Białoleckiej znów dostaliśmy się pod ostrzał. W pobliżu stała akurat drewniana budka owocarenki. Wpadliśmy do środka szukając tam wątpliwej osłony. Leżałem nakryty swoim workiem z warzywami i liczyłem wybuchy. Było ich sześć. Oczekaliśmy chwilę i hajda dalej na Pragę. Przy końcu ulicy Odrowąża, gdzie jest przejazd pod wałami kolejowymi, oddzielającymi Bródno i Targówek od Nowej Pragi, stał tramwaj-barykada. On nas uratował przed trzecim już tego dnia ostrzałem. Za grubymi kołami tramwaju i ścianami tunelu Hitler mógł nas w dupę pocałować.

Zmęczeni do granic wytrzymałości fizycznej i psychicznej dociągnęliśmy się wreszcie do naszego domu na Środkową. Ciężki był ten dzień, ale trzeba było według własnych możliwości pomóc w domu. Pamiętam, że jeszcze ze dwa lata po wojnie konsumowaliśmy ze smakiem zupę z zamarynowanych warzyw z tej wyprawy.

Następnym razem pomaszzerowaliśmy w tym samym celu, ale z innym kolegą, na pola za Zaciszem. Tam przypadkiem weszliśmy na pole minowe. Zorientowałem się pierwszy dopiero po paru krokach, gdy dookoła zobaczyłem okrągłe kępy wyschłej trawy. Zamarłem i jękając się powiedziałem do idącego z tyłu kolegi: „Stój! Ani kroku dalej, jesteśmy na polu minowym. Cofaj się po naszych śladach”. Gdy wyszliśmy poza zagrożony teren byłem cały spocony. W tym momencie zaczęła bić nasza artyleria, usytuowana niedaleko od strony Bródna w kępie drzew. Byliśmy przestraszeni i ogłuszeni hukami dział. Wychodząc na szosę Radzymińską, pomiędzy Zaciszem i Markami, natknęliśmy się na wraki

kilku czołgów. Wchodziliśmy do nich przez włazy i manipulowaliśmy różnymi dźwigniami. Przypomniała mi się zdobyczna książka z września 1939 roku pod tytułem „Walka z czołgami”, którą wydebił ode mnie za okupacji starszy brat Stasiek, robiący akurat tajną podchorążówkę. Powrót odbył się z prawie pustymi workami.

Nauka nauką, ale trzeba było coś jeść. Moje wypadki na pola podwarszawskie były zbyt ryzykowne i nie zawsze kończyły się pomyślnie. Nakarmić nas mogła tylko wieś. Matka od czasu do czasu przywoziła trochę jaj, mięsa i słoniny. Czułem się w obowiązku pomóc jej. Jeździliśmy czasami razem, a czasami ja sam. Takie sobie konieczne wagary. Korzystaliśmy za przepustkami z samochodów wojskowych na kierunku Lublin - Warszawa, ale często trzeba było iść z ciężarami ładnych parę kilometrów.

Pamiętam jak raz dosłownie padłem po przejściu blisko 20 kilometrów z Garwolina do Kołbieli z 30-kilogramowym ciężarem na plecach. Jak na 15-letniego, zabiedzonego chłopaka to był chyba zbyt forsowny trening. Zabrał nas wtedy na skrzynię ciężarówki żołnierz – kierowca i powiózł dalej. Była noc, gdy zamiast na Pradze, znaleźliśmy się w trójkę – z matką i znajomym Kornaszewskim z Czynszowej – 13 kilometrów za Radzyminem. Piliśmy gorący czaj i nad ranem przygodną furmanką wróciliśmy do domu na Pragę.

Innym razem wracaliśmy od Wawra wzdłuż torów kolejowych przez Olszynkę Grochowską i Targówek Fabryczny. Wały kolejowe zasłaniały nas od ostrzału, ale czasami byliśmy tak zmęczeni, że było nam już wszystko jedno.

17 stycznia 1945 roku doczekaliśmy się nareszcie wyzwolenia Warszawy. Byłem wtenczas u kolegi „Gaśiora” na Szwedzkiej. Poniosło nas jak na skrzydłach nad Wisłę. Istotnie – Warszawa wolna! Na wale wiślanym po stronie praskiej, przy moście Kierbedzia, obok dworca ciuchci relacji Jabłonna - Warszawa - Karczew, tłumy ludzi. Depcząc po gilzach, a było ich na wale mnóstwo, przecisnęliśmy się do przodu. To co ujrzałem z bliska zatkało mi oddech. Patrzyłem, patrzyłem i czułem, jak wilgotno robi mi się pod powiekami. Nie było się czego wstydzić. Jedni wiwatowali, inni – tak jak ja – przeżywali wewnętrznie śmierć swego miasta.

Długo, aż do zmroku staliśmy na wale, nie mogąc oderwać wzroku od ruin i zgliszcz po drugiej stronie Wisły. Na ostatnie ocalałe przeszło wysadzonego przez Niemców mostu Kierbedzia, przy dawnym domu Schichta, wdrapywali się po drabinie jacyś żołnierze. Wisła była skuta lodem i tylko parę metrów wiślanego nurtu dzieliło Warszawę prawobrzeżną od lewobrzeżnej. Nie wolno było tam przechodzić. Wiedziałem jednak, że muszę tam być jak najszybciej. Ciągnęło mnie coś nieodparcie do miejsc, gdzie na pewno walczyli moi koledzy. Prawdopodobnie byli w Śródmieściu, bo tam na wiosnę 1944 roku przeprowadzaliśmy na rozkaz rekonesans zakwaterowania ludzi w kwadracie ulic Świętokrzyskiej, Jasnej, Kredytowej i Mazowieckiej. Byłem tam już ma drugi dzień rano. Przeszedłem przez nie zamarznięty nurt Wisły po przerzuconych belkach mniej więcej w okolicy Karowej, gdzie później postawiony był most pontonowy i obok wysokowodny. W Śródmieściu ujrzałem bardzo dużo zburzonych i wypalonych domów, a zamiast ulic wąwozy gruzów przegrodzonych barykadami. Chodziłem po tych wąwozach, będąc myślą przy swoich kolegach, z których dwóch w tym czasie więzionych było w stalagu w Lamsdorfie, w grupie najmłodszych żołnierzy walczącej Warszawy. Przez Ogród Saski przeszedłem na Starówkę, na ulicę Długą 13, tam gdzie były Dzieci Ulicy. Tu było coś więcej niż wojna – to był kataklizm. Patrzyłem i do głowy przychodziły mi słowa łacińskie – *memento mori*...